Lwów, 3. Kwie'nia. № 39. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr miesieczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Rycinay mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłata od wiersza pismem potyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastep. po 1½ kr. i za dopłate 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

PROLOG

POWRÓT DO OJCZYZNY.

Śliczny to był wieczór letni, gdy podróżny jakiś mocno już zmęczony, po stromej ścieżce dochodził do szczytu góry św. Bernarda. W czasie, w którym się powieść nasza zaczyna, nie było jeszcze owych dróg dogodnych, któremi dzisiejsi turyści przebywają Alpy tak spokojnie, że ledwie drzemiącem okiem spojrzą z powozu, by ziewnieniem powitać te cudowne krajobrazy i widoki najpyszniejsze. W roku 1794 nie było jeszcze dróg takich i podróż na górę śgo. Bernarda należała do nader uciążliwych, a nawet niebezpiecznych nieraz, dla czego też powstała na szczycie góry ta sławna na świat cały gospoda zakonna, która górze dała nazwę swoją.

Podróżny jak mówiliśmy był zmęczony mocno, i drapał się na szczyt góry od strony Włoch. Miał on na sobie płaszcz pielgrzymi, lekko tylko zarzucony, z pod którego wyglądał ciemny strój zakonu karmelitów bosych. Mimo zmęczenia i podeszłego już wieku, co można było miarkować po głowie odkrytej, łysej i siwej, podróżny miał na swej twarzy wyraz dziwnej pogody, spokoju, a nawet na ustach staruszka pełnych słodyczy, igrał uśmiech wesoły prawie. Stanął na chwilę, dobył kraciastej chustki z po za habitu, otarł z potu łysą głowę, i spojrzał przed siebie. Już widać mury klasztorne, już tylko kilka kroków, i będzie na samym szczycie, i odpocznie u gościnnych zakonników.

Jakoż po kilku natężeniach stanął staruszek na górze o kilka kroków od bramy do klasztoru prowadzącej. Dla czegóż nie wchodzi co prędzej, aby odpocząć, aby się posilić?.... Pielgrzym obejrzał się w koło siebie, i w oczach jego starych już, co tyle zapewne przez całe życie widziały, zabłysł wyraz podziwu tak naiwnego, jakby u młodzieńca pełnego świeżych niczem nie pokalanych jeszcze uczuć. Stary zakonnik podziwiał widok jaki mu się w tej chwili przedstawił. Był to widok dziwnej, duszę unoszącej piękności. Z tej wysokości widok rozciągał się na nieprzejrzane mnóstwo dolin, parowów i urwisk, które niknęły już pomału w mgle wieczornej, i tylko tu i owdzie sterczały to nagą skałą, to gęstym borem, to srebrną strumienia wstęgą. A nad tem wszystkiem wznosiły się dziwnemi kształtami zarysowane szczyty gór alpejskich, odwiecznemi śniegami pokryte, które w tej chwili cudnemi barwami opromieniły ostatnie światła zachodzącego słońca promienia, jakby głowy starców sędziwych, aureolą świętości pałające. I jeden jeszcze promień upadł na głowę podróżnego i oświecił na twarzy jego wyraz takiego uniesienia, jakby duch boży wstąpił w niego, i wyższe weń wlał natchnienie. Było to zaiste natchnieuie boskiego ducha, który mieszkał w piersi zakonnika, i mimo wieku robił go zdolnym uczuć to wszystko co szczytne, piękne lub dobre.

Nie zważając na zmęczenie, upuścił na ziemię pielgrzymi kij swój, ukląkł, ręce złożył do modlitwy, a oczy ku niebu wzniósł z wyrazem pobożnej pokory i radośnego dziękczynienia. A potem spuścił ję ku ziemi, i odwrócony od zachodu, tam ku północy i wschodowi wyciągnął starzec ramiona swoje, jak gdyby chciał coś objąć i przycisnąć.

Długo w tę patrzał stronę z wyciągniętemi rękami, aż mu zadrżały stare ręce. Podniósł się wreszcie, raz jeszcze wyciągnął ręce ku tej samej stronie, a w oczach jego zabłysły łzy, które wschodzący w tej chwili księżyc cudnem swem posrebrzył światłem. Lecz to nie były łzy smutku jakiego, o nie! to były łzy rozczulenia, łzy radości prawie, która tliła mu i na twarzy wyrazem niebiańskiej pociechy.

Bo podróżny zakonnik wracał do ojczyzny, którą chciałby co prędzej ujrzyć, ziemię rodzinną ucałować, ziomków do serca przycisnąć. I dla tego to w tamtą stronę drżące wyciągał ręce.

W kilka chwil później był już w izbie gościnnej przy płonącym kominie, bo na Alpach wieczory letnie nawet bywają chłodne, otoczony kilką zakonnikami, którzy podróżnemu z serdeczną usługiwali gościnnością.

A gdy go już posilili ozwała się w nich, ta u ludzi samotnych tak naturalna ciekawość.

— Z kąd przybywasz cudzoziemcze, czy z daleka dążysz, i z jakiego jesteś narodu?.

Staruszek odpowiedział im na pierwsze pytania w krótkości , że idzie teraz z Rzymu i wraca do ojczyzny, ale gdy go o ojczyznę zapytali, z jaśniejącem obliczem opowiadał im o tej ojczyznie, którą dawno, bardzo dawno już opuścił. Bo jeżeli myśleć o kraju rodzinnym tak jest miło, o ileż więcej przynosi roskoszy mówić o nim; najzim-

niejszy umysł wspomnieniem ojczyzny dotknięty, wykrzesze parę iskier żywych, poetycznych prawie.

To też staruszek mimo zmęczenia długo rozpowiadał, że jest z ślicznego kraju, który choć leży tam daleko ku północy posunięty, jest najpiękniejszy w świecie, bo nigdzie w świecie takie cudne nie zielenią się niwy, takie nie szumią bory, tak przejrzyste nie płyną wody, nigdzie takie nie piętrzą się góry. A ziemia jak żyźna, a powietrze jak zdrowe i wonne, a ludzie! o ludzie nigdzie nie są tak serdeczni!

Aż się zawstydził sam staruszek na te ostatnie słowa, bojąc się by niemi nie uraził gościnnych swych gospodarzy.

Lecz oni mu uwierzyli chętnie. Zebrani na śnieżnym Alp szczycie z różnych świata stron, pod sztandarem myśli pobożnej, oni innej nie mieli już ojczyzny, prócz murów klasztoru, o które bezustannie biją burze i wichry. Uczucie ludzkości zastępować im musiało każde inne uczucie. W sercu każdego wszakże tkwiła pamięć rodzinnego zakątku, i gdy podróżny chwalił z zapałem powaby swojej ziemi ojczystej, każdy z słuchaczów wierzył, bo w tej chwili ujrzał swój własny tak uroczy kraj rodzinny.

— Jestem polakiem! skończył nareszcie pielgrzym, z radością i dumą, i wracam do Polski.

Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, już podróżny byl na nogach i pożegnawszy gościnnych braciszków, żwawym wyszedł krokiem z murów klasztornych. Pierwsze wschodzącego słońca promienie, nowemi wdziękami ustroiły pyszny krajobraz, który przez chwilę zatrzymał wzrok pielgrzyma, naiwnie podziwiający. I znowu spojrzał w ulubioną stronę i znowu ku niej wyciągnął ramiona, i znowu ukląkł; i serdeczną modlitwą rozpoczął ten dzień nowy, który go zbliżał do ziemi rodzinnej.

Długie jeszcze minęły dnie, za nim się staruszek zbliżył do kresu swych życzeń najgorętszych. Nieraz zmęczony musiał odpoczywać; ale ciągle krzepił siły swoje myślą że każdy krok zbliża go do lubego kraju. Żadnej nie ominął kapliczki, ani żadnego obrazu cudownego, choćby z drogi zejść musiał, żeby nie klęknął i rzewną modlitwą nie dodał sobie nowych sił i nowej odwagi do drogi tak dalekiej. A wszędzie modlitwa jego jedna była i ta sama. On błagał o to jedynie by na chwilę choć stopą swą zmęczoną i poranioną dotknąć ziemi ojczystej, a potem choćby już i umrzeć przyszło.

Mijał dzień za dniem, i pielgrzym poznawał już te miejsca, które mu się w pamięci bolesnem wpoiły uczuciem, bo je przed laty przebywał, gdy drogą żegnać musiał ojczyznę. Już go dzień tylko jeden dzieli od niej. Jutro ujrzy ją, powita te lepione chatki, które mu w myśli wydają się stokroć piękniejsze od najpyszniejszych pałaców jakie widział we Włoszech, tej ojczyznie pałaców pustych i zimnych, mimo gorącego słońca, które pada na nie. Jutro usłyszy dźwięk mowy ojczystej! Jutro!...

Pobożny zakonnik przepraszał Boga za tę radość zbyteczną co mu serce przepełniała. Jutro!... i błagał Boga by go nie skarał nieszczęściem jakiem.

Jutro!... lecz któż jutra pewien być może; ileż to razy jutro to co miało przynieść radość najwyższą, przynosi z sobą niespodziewaną boleść.

Biedny pielgrzymie, nie spodziewasz się, co cię najprzód przywita gdy wnijdziesz na ziemię ojczystą!.

Już się wieczór zbliżał, gdy z małego pagórka pierwszą polską ujrzał wioskę, a znał ją bo tędy właśnie przed laty przechodził granicę pruską. Lecz gdzież słupy graniczne? gdzie komora dobrze mu pamiętna, przy której się musiał ongi tłumaczyć?. Ogląda się, i widzi tam przy samej wiosce nowy jakiś budynek, nito pałac, nito karczma. Ale wiecha wisi przed nim, wchodzi do środka i uszom swoim wierzyć nie chce. Gospodarz i żona i córki perkonose i parobki, przemawiają po niemiecku do niego. Ledwie się mógł z niemi rozmówić.

Pyta o granicę, o komorę, by mógł się wykazać papierami swemi że wraca do kraju.

Śmieją się z niego i patrzą jak na raroga.

— Jeszcze mil ze trzydzieści przejdziesz, a zdybiesz naszą granicą i komorę.

— Waszą? pyta zdziwiony pielgrzym.

— To się rozumie, to jeszcze Prusy przecie!.

— Prusy! zawołał przestraszony i pomięszany. Biednemu staruszkowi w głowie się mąci...

Biedny pielgrzym!. Dwadzieścia kilka lat nie było go w kraju, a w cichych zakonach i dalekich wędrówkach jakie przebył, cóż taki braciszek mógł wiedzieć o zmianach politycznych.

A choć się już dowiedział, jeszcze nie zrozumiał. Ale serce ścisnęło mu sie boleśnie, duże łzy zawisły na siwych rzęsach. Nie były to owe łzy z góry świętego Bernarda.

Wyszedł co prędzej z pysznej, murowanej gospody, minął i wioskę, którą ledwie poznał, taki znalazł w niej nowy porządek. Aż o staj parę dalej stanął i ucho wytężył. Z dala po rosie przypłynął mu do ucha spiew jakiś, poznał nutę na pół wesołą, na pół tęskną. To nuta swojska i słowa dobrze zrozumiałe. Poczciwy jakiś kmiotek wracał z roboty do bliskiego futorku. Ujrzawszy pielgrzyma, zatrzymał się, przeżegnał, pocałował księdza w rękę i zaprowadził na noc do swej chaty, a uraczył serdecznie czem tylko mógł. Pocieszył się stary pielgrzym, bo usłyszał dźwięk mowy ojczystej tak dawno niesłyszanej, bo nadybał gościnny swego kraju obyczaj. Ubogi kmiotek opowiedział mu dopiero co się przez te lata minione działo, i obznajomił go ze zdarzeniami, które mu były niewiadome. Zasnął ze zmęczenia, ale długo trapiły go jakieś sny, wzywające go do szybkiego pochodu. Zdało mu

się słyszeć głos wołający na niego, by się spieszył naprzód. Zdało mu się widzieć zakrwawionego i płaczącego chłopczynę, który kiwał na niego paluszkiem i wołał ratunku...

— Nie mam matki! nie mam matki!. ratuj mnie..

Poczciwy karmelita mimo całej pobożności i czystej wiary, a może właśnie dla tego, wierzył w sny, które przecie od Boga pochodzą.

Mimo więc zmęczenia i szczerych proźb kmiotka, by odpoczął u niego dni kilka, pożegnał serdecznem błogosławieństwem pierwszą chatę polską jaką zdybał, i spieszył dalej, przekonany, że coś niezwykłego czeka go na tej drodze.

Wstąpił jeszcze do Częstochowy, i długo tam się modlił. Bogu w modlitwie powierzył wszystko co przecierpiał przez tyle lat tułactwa po obczyznie, wszystko co go bolało od czasu jak stanął na ziemi rodzinnej. A zdało mu się w jego prostem i naiwnem pojęciu, że te modły jego daleko będą skuteczniejsze, bo to oblicze matki boskiej Częstochowskiej patrzące na niego, wydało mu się piękniejsze i cudowniejsze od wszystkich arcydzieł włoskiego pędzla, jakie widział po pysznych świątyniach Rzymu.

Z Częstochowy poszedł ku Warszawie. Coraz dziwniejsze przejmowały go uczucia. Własnego nie mógł poznać kraju. W głowie mu się pomieścić nie mogło, że gdy w sercu jego, i w jego myślach nic się nic zmieniło przez lat dwadzieścia, tyle zmian mogło zajść w kraju. Zostawił go cichym i spokojnym a tu wszędzie wrzały teraz jakieś przybory wojenne w chaotycznym nieporządku. A wszędzie wrzask różnogłośny; co parę mil zdybywały go inne zdania, inne barwy, z czego wszystkiego biedny księżyna nic zrozumieć nie mógł. Jedni chcieli wojny, drudzy spokoju, jedni wołali że to wojna okropna, drudzy głosili że to zbawienie. W własnym kraju znalazł się zupełnie obcym, jak gdyby po wieku snu zmartwychwstał. Tu jęki i narzekania, tam hulanka i grzmiąca kapela. Tu świeże przywożą trupy z bliskiego bojowiska, tam huczny wyprawiają bankiet. Biednemu zakonnikowi przypomniały się ustępy z piekła Dantego, zasłyszane nieraz na ziemi włoskiej.

Im więcej zbliżał się do Warszawy, tem większy zdybywał ruch i gwar. Najsprzeczniejsze biegały wieści o zdarzeniach jakie się gotują w stolicy. Jedni uciekają z niej w rozpaczy, drudzy gonią ku niej dworno, szumno i wesoło. Dla jednych kończy się stare życie, dla drugich nowe zaczyna. Żegnał się ciągle staruszek, by odżegnać te widma, których niepoznawał, nierozumiał, które w swem pomieszaniu, zdawały mu się być odnowieniem wieży Babel.

Stanął nareszcie w Warszawie, ledwie przepchał się przez tłumy zapełniające wszystkie place i wszystkie ulice. A w tłumach toż samo zamieszanie, ta sama gmatwanina zdań i mów. Z tego wszystkiego ledwie mógł zrozumieć, że wojsko Carowej Katarzyny pod potężnym Suwarowem zdobywszy Pragę, stoi już pod Warszawą, aby silnem wdaniem się, domowe zakończyć zatargi, i zwaśnione aż do wojny domowej umysły pogodzić. Kapitulacyą już podpisano. Wszyscy czekają na wkroczenie wojsk, o których tęgości i pięknej powierzchowności cuda rozpowiadają po mieście.

Szybkim krokiem przebiegał Warszawę nasz podróżny, by prędzej uciec z tego chaosu, którego ani mógł zrozumieć. Tam gdzie jest kątek rodzinny, w pośród borów litewskich, tam musi być cicho, tam musi być spokojnie. Nie wszedł nawet do żadnego kościoła, tak mu było pilno, przed każdym tylko przeżegnał się krzyżem świętym, a gdy stanął na placu zamkowym, spojrzał z uczuciem dziwnego żalu na posąg Zygmunta III. Przeżegnał się na nowo przed krzyżem w ręku królewskiego posągu, westchnął i szepnął sam do siebie.

— Biedny kraj co sam się rozpada niezgodą!.. a po chwili dodał jakby się pocieszyć; koroniarze poszaleli, spieszmy do naszej świętej Litwy.

Pielgrzymia suknia i habit zakonny pomogły mu, że się szczęśliwie dostał na Pragę przez wszystkie tłumy ludu i wojska. Już słońce zaszło, pada zmrok wieczorny; stopy i serce podróżnego zranione i zmęczone; czas by odpocząć. Lecz Praga zalana żołnierstwem, które pijane włóczy się z kąta w kąt. Wszystkie gospody i domy prywatne napchane nowemi przybyszami, a wrzask taki panuje jakby w dzień sądu ostatecznego. Widząc zatem że próżna tu myśl o noclegu, wyszedł pielgrzym z Pragi, w nadziei znalezienia w pobliskiej wiosce na noc przytułku.

Ledwie uszedł staj kilka, ujrzał na boku śliczny jakiś domek, niby dwór szlachecki, wystający z pomiędzy zielonych topoli, i zielonego wianka ogrodowego. Śliczny to był dworek, ale całą powierzchownością zdradzał przybytek zamożniejszy. Zakonnik przyzwyczajony szukać gościnności po skromiejszych strzechach, chciał go już pominąć, tem więcej że dwór ten stał o jakie półćwierci mili w bok jego drogi. Gdy nagle, niewiedzieć zkąd, przyszedł mu na myśl ów sen miany w chacie kmiotka, i zarazem uczuł szczególny jakiś pociąg, by zwrócić ku domowi.

— Kto wie, może to boska wola; czuję że mnie coś osobliwszego czeka!.. mówił sam do siebie.

Wahał się chwilkę, ale chętka wzrastala coraz więcej, do czego może przykładało się niemało i zmęczenie podróżnego.

Zwrócił się więc na ścieżkę, i wnet stanął przy otwartej bramie wiodącej na dziedziniec. Był to w rzeczy samej śliczny dworek, widocznie nie dawno w kształcie włoskiej willi zbudowany, czyli raczej przerobiony z dawniejszego jakiegoś domostwa, co miarkować można było po ogrodzie, noszącym na sobie cechę smaku dawniejszego, bo się składał z pysznych szpalerów lipowych i grabowych

które wieki już przetrwać musiały. I inne budynki gospodarskie jedną stroną o nowy dwór przypierające, były stare, tu i owdzie połatane dla świeżego użytku, walące się do upadku i słomianą strzechą pokryte.

W chwili gdy się zbliżał do nowego dworu, zaświeciły się właśnie światła w jego oknach, i o ile zdawało się naszemu podróżnemu, panował w domu ruch jakiś, bo się przesuwały około okien cienie przemykające szybko, a nawet migały się światła, jakby się z miejsca na miejsce przenoszono. Zdziwiło to niepomału naszego pielgrzyma do rodzinnych obejść przyzwyczajonego, że go żaden pies nie przywitał szczekaniem swojem, które zwykle dla mieszkańców, bywało dawniej oznajmieniem, że się gość zbliża do zagrody. Poczciwy braciszek uważał to za złą wróżbę, bo według mniemania jego, pies szczekajacy na podwórku należał koniecznie do tej całości naszych gościnnych dworów. Wahającym więc krokiem zbliżał do się do drzwi wchodowych, z pięknej i białej kolumnady frontowej wystających.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! ozwał się zakonnik, i poruszył klamką.

Drzwi były nie zamknięte, wszedł do sieni wielkiej, w której o ile w ciemności mógł zajrzyć, rozmaite sprzęty leżały w nieładzie, lub wyglądały z pak. Nie wiedział gdzie się obrócić, gdy ujrzał w jednej stronie światło przebijające się przez szczelinę drzwi i z tej samej strony usłyszał głosy mówiących. Odzywały się trzy główne głosy: mężczyzny, kobiety i dziecka płaczliwe i niewyraźne jeszcze paplanie.

Nie chcąc podsłuchiwać podróżny ozwał się głośniej:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i poruszył z lekka klamką.

— Kto tam? ozwał się głos męski. Cicho, ty nieznośny bekso! dodał zwrócony zapewne do płaczącego dziecka.

— On cierpiący! ozwał się głos kobiety, słodki, dźwięczny, i miły.

— Podróżny! pielgrzym! zakonnik! odpowiedział nasz braciszek. Zmęczony długim pochodem proszę o kącik, bym mógł przenocować.

— A czy to wszyscy! ozwał się na to głos mężczyzny, szorstki, surowy i przykry. Że się te włóczęgi nawet wojny nie boją.

To rzekłszy otworzył drzwi ze złością i z łoskotem, ledwie spojrzał na podróżnego, i zamykając drzwi tak prędko, że podróżny niemógł nawet dostrzedz twarzy jego, zawołał znowu:

— Idźcie sobie z Bogiem! tu niema miejsca! tu się pakują i wyjeżdżają: lada chwila mogą nadlecieć kozacy. Ledwie kilkeset kroków do karczmy, tam ci będzie najlepiej mój pielgrzymie.... Przeklęte włóczęgi!... dodał przez zęby.

— Niech was Bóg błogosławi! rzekł na to pielgrzym; choć z przykrym odszedł uczuciem, ale bez złości, do czego i to się zapewne przyłożyło, że usłyszał głos ten sam kobiecy słodki:

— Noc tak ciemna!.... on biedny nie trafi!

Głos płaczącego dziecka zagłuszył odpowiedź męszczyzny.

— W Litwie to by mi się nie zdarzyło! pomyślał tylko sobie pielgrzym, i szedł ku bramie. (C. d. n.)

ZŁUDZENIE.

Raz cię widziałem — ach nie zapomnę,
Doliną zdrój się wił,
Nad brzegiem zdroju usiadłaś przy mnie,
A jam ze zdroju pił.

Klękam na brzegu — biorę gałązkę,
A fala mknie i mknie,
I chylę usta, chylę, a w fali,
A w fali widzę cię.

Te blade lica, jak blada róża,
I blady uśmiech twój,
To się wychyla z fali, to rusza,
A falą bije zdrój.

I chylę usta... coś mnie się śniło...
Ach, nie pamiętam, nie!
Wody nie piłem — ciebie nie było,
A fala mknie i mknie.

J. C. Z.

PAMIETNIKI LEKARZA POLAKA.

przez

Dr. J. TRIPPLINA.

(Ciąg dalszy).

Po tak tragicznej śmierci czterech już mężów, niedali się przecie odstraszyć konkurenci, może dla tego, że w Norwegii przy ciągłych niebezpieczeństwach żeglugi, ludzie giną często, śmierć zatem nie jest tak niespodziewanem i zastraszającem zdarzeniem jak gdzieindziej. Dosyć że Edda widząc się biedną i opuszczoną z sześciorgiem dzieci, wystawionych na głód i nędzę, zdecydowała się iść po raz piąty za mąż, tem więcej że nowy starający się twierdził że z rozpaczy zabije się, jeżeli ona nie pójdzie za niego. Tym razem poszła za urzędnika celnego, wielce skrupulatnego w wypełnianiu obowiązków swoich. I on nie uniknął fatalności, ciężącej nad Eddą. Ledwie urodziło się siódme Eddy dziecko, a szósta z kolei córka, gdy biedny ojciec padł ofiarą gorliwości swojej. Statek zbrojny wiozący kontrabandę, zatopił cały statek celny wraz z naczelnikiem i osadą całą.

Tu dopiero następuje najciekawszy jej życia epizod. Pojawia się nagle jakiś człowiek zupełnie nieznany, Krystian von Oberstauffen, religijny i natchniony mistyk. Na własnym przybył Jachcie, którego majtkowie od rana do wieczora spiewają psalmy, modlą się i nawet kazania prawią. Powiada że jeździ po świecie, aby wszędzie rozkrzewiać Chrystyjanizm. Ledwie poznał Eddę, po kilkogodzinnej rozmowie, oświadcza że znalazł co szukał, to jest równie natchnioną jak on sam i przeznaczoną na odrodzicielkę rodzaju ludzkiego kobietę. Edda widząc jego przywiązanie, widząc jego postępowanie szlachetne, uczynki dobroczynne, wpada sama w stan extatyczny, oddaje mu rękę i kocha go namiętnie. Zachodzi w stan błogosławiony; mąż tymczasem znika nagle wraz z swoim Jachtem. Rodzi się nowa córka, o ojcu niema wieści, aż nareszcie po roku przeszło dochodzi wiadomość że znajomy Jacht Krystiana znalezionym został między lodami morza północnego, pusty zupełnie, bez wszelkiego śladu osady. Wieść o jego śmierci roznosi się wszędzie; Edda była w rozpaczy.

W tem zjawia się szkarlatyna; wszystkie jej dzieci zapadają niebezpiecznie bardzo. Udano się po lekarza, niedawno osiadłego w Fahrsund. Ten daje sobie niesłychaną pracę by ratować dzieci, ratuje je, ale zarazem zachwyca się ich matką. Pan Frodisson może się ze wszech miar podobać, lecz długo przecie opiera się Edda pociągowi własnego serca, wdzięcznością za uratowanie dzieci pobudzonego. Doktora nic nie może odstraszyć, nawet niepewność czy ostatni mąż na prawdę zginął, którą się wdowa sześciu mężów zasłania. Wyrabia u rządu dla pani Oberstauffen pozwolenie wejścia w nowe śluby; i we trzy lata po zniknięciu reformatora żeni się z reformatorową. Nigdy tak szczęśliwą nie czuła się Edda, i jak się zdaje tego ze wszystkich mężów najlepiej kochała. Już to jak się okazuje z opowiadania naszego ziomka, Edda każdego ostatniego męża najlepiej kochała. Szkoda tylko że to jej szczęście nie długo trwało. Tym razem mąż siódmy Eddy ani nie utonął ani się spalił, ani zniknął jak kamfora, ale właśnie gdy mu żona ślicznego powiła chłopca, w czasie zabawy jaka po chrzcie nastąpiła, pojawia się jak duch, szósty z kolei mąż, blady, wycieńczony, okropny i domaga się żony koniecznie. Pokazuje się że wówczas gdy zniknął, zrobił to w skutek snu natchnionego, który mu tam gdzieś jechać kazał ku lodom północnym. Dwie zimy przebył lodami złapany; przeniósł się potem na zdybany przypadkiem statek rossyjski, i po wielu a wielu przeprawach bardzo ciężkich, z tęsknotą w sercu przybywa do żony i zastaje ją w prawnem objęciu innego.

Tu następuje walka uczuć okropna, i w sercu Eddy i w sercach obu równie kochających małżonków. Edda porzuca obydwóch i wraca do swego ubogiego domku, sama jedna z dziećmi swemi. Mężowie udają się do rządu. Pytanie do rozstrzygnienia nadzwyczaj trudne, trudniejsze od sądu Salomona. Nakoniec wypada wyrok, że Edda może sobie jednego z obu żyjących mężów wybrać dowolnie, i żyć z nim, jako z mężem prawym. Lecz ten wybór jest niepodobny dla czułej kobiety, która jakkolwiek jej serce przemawiać mogło, niechce popełnić niesprawiedliwości. Zaklina więc obu mężów by ją porzucili i postanawia żyć odtąd sama jedna. I tak się staje. Ona w swym domku ubogim żyje samotna; jeżdżąc łódką po morzu utrzymuje się z rybactwa, a obaj mężowie kochając ją zawsze czule, odwiedzają ją czasem, ale przyjmywani jak bracia najukochańsi od niej, wracają nazad z zakrwawionemi sercami. I zawsze jeszcze piękna, zawsze pełna dziwnego uroku, prawdziwie czarodziejskiego, wywiera tak mocny wpływ na mężczyzn, że gdyby nie żyjący szósty i siódmy mąż, znalazłaby jeszcze niejednego, któryby chętnie został jej mężem dziewiątym. Przyznać potrzeba, że ciekawa to legenda w wieku dziewietnastym.

Autor pamiętników lekarza z szczególnem zamiłowaniem opisuje Norwegię, jej klimat i obyczaje. Z tamtąd przechodzi do opisu uniwersytetów istniejących w Norwegii i Szwecyi, i wiele w tym względzie ciekawych podaje dat i szczegółów, które tu dla onych obszerności umieścić nie możemy. Nadzwyczaj ciekawe i nowe nawet są szczegóły, jakie przytacza o uczonych i poetach szwedzkich. Nie możemy wszakże pominąć ciekawego szczegółu o sławnym humoryście szwedzkim Wessel. Był to człowiek niezmiernie utalentowany, ale pełen dowcipu i żywego humoru, nie koniecznie był czysty co do obyczajów i do sposobu życia wielce lekkomyślnego.

Będąc w okropnej nędzy, namówiony przez przyjaciół udał się do ministra. Trzeba zaś wiedzieć, że po długiej chorobie straciwszy włosy zupełnie, nosił perukę, którą mu kupili przyjaciele.

— Kto pan jesteś? pyta minister.

— Jestem poeta Wessel! czy pan minister mnie nie poznaje?...

Minister w rzeczy samej nie poznał Wessla, z którym z resztą nie wiele miał styczności. Wessel przypisując to peruce, ściągnął ją z głowy i schował do kieszeni.

— Poznaję pana; czemże mogę panu służyć? zapytał znowu minister.

Wessel przedstawił więc położenie swoje, ale w słowach dosyć zawiłych, bo go zaambarasowała figura ministra dostojna, chuda i zimna. Minister także był zaambarasowany i przesuwając w ręku złotą tabakierkę, zapytał go znowu:

— Więc czemże właściwie mogę służyć panu?

— Tabaką, panie ministrze! odpowie Wessel, i zażywszy tabaczki ukłonił się, i odszedł śmiejąc się głośno z zawstydzonego ministra.

Rozmaite przechodził on koleje, najwięcej smutne. Nareszcie poznał się gdzieś, podobno w Kopenhadze, z przystojną bardzo guwernantką francuzką, która była niegdyś

w ojczyźnie prowincyonalną aktorką. Przebrał ją po męsku i po całej Szwecyi woził z sobą, wydając ją wszędzie pod największym sekretem, za księcia Reichstadskiego, który niby uciekł z Schönbrunu, aby odzyskać tron francuzki. Komedia ta udawała się długi czas jak najlepiej; damy szwedzkie mianowicie wielkie miały spółczucie dla mniemanego księcia. Wesselowi działo się z tem dobrze, znaczne bowiem zbierał składki i dary przeznaczone dla młodego Napoleona. Lecz gdy wieść doszła o tem do Stokholmu, kazano ich uwięzić, a znajdywali się właśnie w zamku starej hrabiny La Gardie, której wnuk, dwudziestoletni oficer gwardyi huzarów tak się przywiązał do księcia, że go jako giermek nie odstępował ani chwili. Wpadają do zamku; ale już nie zastali księcia Reichstadt i młodego giermka. Dowcipna francuzka przewąchała pismo, i uwiozła z sobą bogate łupy i jeszcze bogatszego i najniewinniejszego oficera huzarów, aby zapewne we Francyi uzupełnić jego wychowanie. Poeta dostał się do więzienia gdzie długo i ciężko pokutował, a młody hrabia Pontus de la Gardie powrocił dopiero za lat dwa z zdrowiem dość nadwątlonem, ale wyleczony za to radykalnie z wszelkich niewinnych złudzeń.

Wessel odzyskawszy wolność tułał się od kraju do kraju, zawsze wesół, zawsze w wytartej sukni, w wykrzywionych butach, aż nareszcie zapił się gdzieś na poddaszu.

Z Norwegii udaje się autor pamiętników lekarza do Anglii i przeskakuje nagle z malowniczych i literackich opisów, do szafy sławnego angielskiego lekarza Huntera, w której najspokojniej spoczywają obok siebie dwa szkielety, jeden olbrzyma, drugi karlicy. Ciekawe dosyć dzieje tych szkieletów za życia i po śmierci. Olbrzymem na ośm prawie stóp wysokim, był pan O' Brien, irlandczyk, potomek jak sam o sobie twierdził królów Iberyjskich. Wziąwszy po ojcu spuściznę szlachecką dość szczupłą, prawdziwie Irlandską, wnet ją, nie przepił, nie przegrał, nie przechulał, ale przejadł, bo go na nieszczęście przyroda obdarzyła apetytem tak olbrzymim, jak olbrzymie było ciało jego. Apetytem za silnym na Irlandyą gnany udał się do Londynu, do tego miasta befstyków i rozbifów i ogłosił gazetami że potomek królów Iberyi, wyrozsłszy do tej wysokości, jaką się odznaczali jego przedpotopowi przodkowie, umyślnie zjechał do Anglii by się dać poznać, i że wszystkich męszczyzn przypuszczać będzie do siebie za opłatą jednego funta szterlingu, a płeć piękną za połowę tej ceny.

Moda jest wszędzie kapryśna, w Londynie więcej może niż gdzie indziej. O' Brien wszedł w modę, jadł kapitalnie i zbierał gwineje. Apetyt jego stał mu się nawet źródłem intraty; apetyt bowiem jest rzeczą niezmiernie szanowaną w Anglii, i używano nieraz p. Brien do wzniecenia stępiałego apetytu. Jeden ze słynniejszych traktyerników Londynu płacił mu nawet za to by się dwa razy na dzień darmo u niego stołował, na czem doskonale wychodził. Owoż zebrawszy dziesięć tysięcy funtów szterlingów, gdy już zaczynał wychodzić z mody, ulokował kapitał na procent, a sam ruszył w świat. Przyjeżdza do Wiednia, właśnie w tenczas, gdy się pojawiła tamże olbrzymia Tyrolka, Katarzyna Bremer, wyższa od najwyższego Grenadyera. Pokochali się oboje i pobrali, oczekując pierwszego syna, którego Cesarz przyrzekł trzymać do chrztu. Pani O' Brien wydała na świat nie żywe dziecko i umiera. Mąż nieutulony w żalu dostaje suchot, a że żyjąc hucznie i szumno stracił wielką część swojego majątku, wraca do Anglii i udaje się do sławnego p. Hunter. Lekarz poznał od razu, że olbrzym jest już w trzecim stopniu suchot, i że długo pożyć nie może. Ale zarazem pomyślał sobie, że tak ogromny szkielet zdałby się do jego zbioru. Po kilku więc słowach, w których mu jak mógł najdelikatniej przedstawił lekarz niebezpieczny stan jego, przemówił do niego.

— Powiadasz mi pan że jego stan majątkowy nie najlepszy, owoż ja panu ofiaruję pomieszkanie u mnie, wygody, stół doskonały i moje starania. A pan mi zapisz za to swój szkielet po śmierci.

Potomek królów Irlandskich mocno się rozgniewał za tę propozycyę. Wszelkie przedstawienia doktora były nadaremne.

— Wolę z głodu umrzeć, ale nie chcę być krajanym po śmierci; nie będzie pan miał mojego szkieletu.

Jakoż uciekł zaraz aż do Bristolu, i tam kazał zrobić sobie trumnę ołowianą. Miał przy sobie dwóch Irlandczyków, przywiązanych do siebie; tym tedy zalecił żeby go w trzydzieści sześć godzin po śmierci włożyli do tej trumny, wywieźli za księdzem na morze, wrzucili w nurty jego.

Nic to nie pomogło; doktor Hunter uwiadomiony sztafetą o śmierci olbrzyma, kurierskiemi końmi leci do Bristolu, i zastaje służących pilnujących trupa. Przedstawia im, po co przyjechał, lecz ci nawet słuchać go niechcą. Proponuje 200 funtów za trupa; odmawiają. Daje 300 funt. szt. i tego nie przyjmują. Daje 400 funt. st., zaczynają się wahać, i wreszcie po długim targu, przystają na 500 funtów st. to jest 21,000 złp. za trupa. Tym sposobem dostał się p. O' Brien do zbioru lekarza Huntera. (D. n.)

Gerard de Nerval.

(Dokończenie.)

Z tejto podróży przywiózł z sobą także nadzwyczajną rokokomanią, która cały jego, spadkiem po dalekim swym kuzynie znacznie powiększony majątek pochłonęła, i która do tego rozciągała się stopnia, iż był wstanie ostatnią swą suknię za najlichszą jakową zamienić kameę. Cztery najęte manzardy zdołały ledwie zmieścić drogie te, z różnych krajów i okolic sprowadzone antyki i kuriosa. W sypialnym jego pokoju stało olbrzymie gotyckie łóżko z dębowego drzewa, mnogiemi ozdobione snycerskiemi rzeźbami; kosztowało go ono 800 franków z tej tylko przyczyny, iż sławna Małgorzata z Valois podczas swego pobytu w zamku

Tours na niem sypiać miała. Eugéne de Mirecourt skreśla całą oryginalność jego charakteru następującemi słowy: Nietroszczenie się o jutro jest jedynym jego żywiołem, on jada gdzie może, sypia gdzie się przy schyłku dnia znajduje, a pracuje wszędzie na ulicy, na trotoarze, nikogo nie widząc i nie uważając, sam jeden wśród największej ciżby wiersz po wierszu notuje, i tak całe dzieło ukończa.«

Nagła śmierć Silwii wywarła znowu okropne na nim wrażenie. Melancholijne jego usposobienie umysłowe przybrało odtąd dziwny jakiś charakter, charakter, który się tylko z teraźniejszym stanem największego naszego wieszcza, nieśmiertelnego twórcy »Dziadów« porównać dać. Paryż obrzydł mu zupełnie. Zwiedził więc powtórnie Włochy, Niemcy, później Konstantynopol i Egipt. Z każdej tej podróży przywiózł gotowe już zawsze jakie dzieło, a widok nowego utworu zdawał się zbawienne na umysł jego wywierać skutki, wtedy bowiem wydane dzieła jego jak: Lorelej, Souvenirs d'Allemagne, i Voyage en Orient nie noszą znamienia tak głębokiego mistycyzmu jaki się w wszystkich jego późniejszych utworach objawia. Pomimo tego okrzyczano go wtedy już waryatem. Gerard wiedząc o tem, wydał jakby w odpowiedź na tę powszechnie szerzącą się wieść kilka powieści pod nazwą: Les illumines. Starał on się wnich dowieść, iż mistycyzm i ów tajemniczy pociąg odgadnięcia rzeczy nadzmysłowych niektórym ludziom jest z natury już właściwym.

Théophile Gauthier, najściślejszym z nim węzłem przyjaźni złączony, poświęcił mu kilka słów pośmiertnych, w których skreślając żywy obraz wielu pięknych przymiotów zmarłego, zastanawia się także i nad tą okolicznością. »Nieszczęście tego stanu, mówi on, ma wcale inne przyczyny jak zwyczajne walki z trudnościami literackiego życia i prostego niedostatku. Wzrastająca przewaga marzenia nad rzeczywistością pozbawiła go uroku życia, znajomość literatury niemieckiej, i wielkie w niej zamiłowanie, jakoteż dluższy pobyt w Niemczech w czasie kiedy wszystko tam tchnęło szałem najrozmaitszych systematów filozoficzcych, nadały sposobowi jego myślenia wyłącznie spiritualistyczny kierunek, i zrobiły go mistykiem. Szczególny wybór lektury, excentryczny sposób życia i namiętne zamiłowanie w samotności, wyrywały go coraz więcej z granic rzeczywistości, a nieszczęśliwa miłość o której w pismach swych wzmiankuje spotęgowała najwyżej abnormalny ten stan umysłu jego. Odtąd nie zdołał on już marzeniu swemu dowolnego nadać kierunku. Nigdy jednak nie jaśniał cudowniej jeniusz jego, nigdy nierozstrzeliwał się tak bogato na zewnątrz, jak w tym stanie. Godziny całe słuchaliśmy go w zachwyceniu, jak w prawdziwie wieszczej extazie najdziwniejsze przed nami odsłaniał apokalipsy i cudownie wymownemi usty najjaskrawsze głosił wizye.

Dziwne to jednak i nieodgadnione psychologiczne zjawisko iż Gerard de Nerval w chwilach najwyższej podobnej extazy zawsze stan swój owczesny jasno pojmował i z zdumiewającą go poźniej dokładnością opisywał. Prawie przed samą już śmiercią umieścił w Revue de Paris utwór swój: La vie et le réve, gdzie z chłodną spokojnością i z filozoficznem poddaniem się częste te swe nito somnabulistyczne napady analizuje. Ostatnie karty tego dzieła znaleziono w kieszeni jego surduta. Zapewne podczas jednej z swych częstych nocnych wycieczek, popadł znowu w jaskrawe swe marzenia, a mając oddawna już silne obrzydzenie życia dopuścił się samobójstwa. Kilka dni przed śmiercią rzekł był jednemu z swych przyjaciół: »Świat nie uwierzy iż nie jestem waryatem, dokąd sam życiu memu końca nie położę.«

Z śmiercią jego poniosła literatura francuska dotkliwą stratę; nie odznaczał on się w prawdzie wielką płodnością, nie napisał jak Alexander Dumas czterdzieści ośm sztuk dramatycznych i pięćset tomów romansów, nie zaopatrywał jak Eugeniusz Scribe bulwarowych teatrów co tydzień w nową sztukę, lecz pisma jego są zato sumienniej i staranniej wypracowane i jak dzieła Kazimierza Delavigne odznaczają się więcej reflexią jak twórczością. —

W. Ł.

Rozmaitość.

Projekt podwodnego tunelu między Francyą i Anglią.

* Niektórzy geologowie utrzymują, że Pas-de Calais było kiedyś międzymorzem, które bez przerwy łączyło ląd stały z Anglią; zawsze, praktyczni, często nader śmiali inżynierowie francuscy, suszą sobie głowy nad sztucznem ich połączeniem. Już kilka sposobów podawano: jeden proponował most wiszący, do balonów przyczepiony: pomysł, który gdyby był nawet wykonanym, nie dawałby dość prędkiego przejazdu. Inni przeciwnie, nie ponad wodą, ale pod wodą starali się zadanie rozwiązać, projektując wykopanie tunelu pod łożyskiem morza. Biorąc za podstawę anszlagu koszta londyńskiego tunelu i czas jego roboty, tunel anglo-francuski kosztowałby kilka miliardów, i byłby skończony w trzystu kilkanastu latach. Trzeci pomysł, nad którym się autor nie zmordował, chce poprostu usypać wał, zostawiając kilka przesmyków dla przepływu statków.

Czwarty projekt, którego własność, wedle zwyczaju, Francuzi i Anglicy wydzierają sobie nawzajem, radzi przeprowadzić od brzegu do brzegu ogromną rurę żelazną, któraby na dnie morskiem spoczywała.

Panowie Franchot i Tessié są autorami pomysłu tego. Początkowo chcieli oni tym sposobem połączyć Liverpool z miastem New-Brigton, które dzieli odnoga morska; dziś posunęli projekt do większych rozmiarów. Zrobione sondowanie kanału La Manche utwierdziło ich w zdaniu, że dzieło da się uskutecznić. Rura, a raczej tunel byłby z lanego żelaza, składany częściowo z porcyi pięcio lub siedmio-łokciowych; średnica otworu miałaby 4 lub $4\frac{1}{2}$ łokci, ścian zaś grubość byłaby zmienną wedle wysokości kolumny wody, na nie cisnącej. Autorowie podają sposoby na łączenie częściowych rur pod wodą, układają je do poziomu za pomocą podpor z wnętrza regulować się dających; potem rynewkami leją pod nie łożysko z betonu, aby ustalić położenie rury, umiarkować pochyłość lub zapełnić małe nierówności.

Za motora ruchu ma służyć zgęszczone powietrze. Naraz, jeden tylko wagon byłby w ruch wprawiony; wagon ten miałby dwa

żagle, wielkości i średnicy takiej, jak tunel na brzegu stojąca maszyna parowa zgęszczałaby powietrze z tyłu wagonu tylko o $\frac{1}{10}$ atmosfery, coby nadawało wozowi szybkość 8 mil na godzinę. W pół godziny więc możnaby przebyć cieśninę w tym punkcie. Na drugim brzegu stojąca maszyna pchałaby wóz w przeciwnym kierunku.

Średnia głębokość między Boulogne a Folkstone jest tylko 50 metrów, a w tej głębokości i pod tą szerokością jeograficzną wpływy temperatury jeszcze czuć się dają; dlatego przez wzgląd na rozciągliwość żelaza, spojenia części tunelu musiałyby być rozmaite, tak, żeby jedne pozwalały kruszczowi skracać się lub wydłużać, drugie pozwalały rurom zastosować się do pochyłości gruntu, nie dopuszczając przecież przeciekania, któreby w sekundzie bez podobieństwa naprawy całą rzecz zniszczyło.

Jakkolwiek przewidziane trudności są pokonane ogromną nauką i nie mniejszą zręcznością, jednak nieprzewidziane byłyby wypadki zapewne tak wielkie, olbrzymi nakład tak ryzykowny, że pomysł nigdy zapewne poza dziedzinę projektów nie wyjdzie; to też podajemy go nie jako myśl zrealizowania bliską, ale jako przykład zmysłowej przedsiębiorczości ludzi.

* W wielki piątek o godzinie 5 z południa wykonają uczniowie galicyjskiego towarzystwa muzycznego za przewodnictwem swoich nauczycieli śpiewu, pani Henryki La Roche i pana Wojciecha Smaciarzyńskiego w kościele OO. Dominikanów wielkie „Miserere,“ oratorium kompozycyi Hessera.

* W przeszłym tygodniu umarł we Lwowie Jakób Rappaport doktor medycyny i chirurgii, członek wielu towarzystw uczonych. Był to mąż bardzo zasłużony, nietylko jako jeden z najznakomitszych lekarzy Lwowskich, ale co więcej jako mąż ze wszechmiar prawy i szlachetny; prawdziwy przyjaciel ludzkości, gdzie nie leczył sztuką swoją, tam szedł w pomoc dobroczynnemi datkami. Jako lekarz dobry mający praktykę tak dawną i tak rozszerzoną, mógłby był zrobić milionowy majątek, a przecież umarł w stanie majątkowym bardzo ograniczonym. Bo wszystko co miał, rozdawał między ubogich i wszystkie zakłady dobroczynne, znacznemi obdarzał ofiarami. I jak się to często w życiu trafia, że szczęście nie idzie za zasługami, Jakób Rappaport przeżył wiele przeciwności, mianowicie w kole rodzinnem, stracił syna bowiem już dorosłego, młodzieńca pełnego talentów i nadziei, który w Wiedniu porwany szałem swego ku marzeniom skłonnego umysłu, szukał i znalazł śmierć w Dunaju. Na kartce pogrzebowej czytaliśmy, że miał mieć lat 83; zdaje się to nam być mylnem, sam bowiem rozpowiadał, że małem dzieckiem mieszkając na Ukrainie w Humaniu, w czasie rzezi Humańskiej (r. 1768, 1769.) sam jeden prawie wyratowanym został. Pogrzeb d. 1. Kwietnia do nowej synagogi odbyty, był bardzo liczny; tłumnie postępowano za ciałem bez wszelkiej różnicy wyznań. Byłto hołd mimowolny słusznie zasługom zmarłego oddany.

* Cesarzewicz Jegomość, Arcyksiążę Karol Ludwik przybył tu w niedzielę z powrotem z Wiednia o godzinie trzy kwandranse na szóstą wieczorem. Za przybyciem raczył wysiąść u wnijścia i przywitać zgromadzenie dostojnych osób cywilnych i wojskowych, łaskawie rozmawiać, potem u siebie na pokojach przyjmować.

Przyjechali od dnia 1. do 3. Kwietniaa do Lwowa.

PP. Treter Hilary, z Dźwinacza górnego. Studziński Adolf, ze Stanisławowa. Golejowski Jan hr. z Krzywczy. Wolański Jan ze Srok.

PN. Czerwiński Ludwik, ze Żółkwi. Obertyński Wacław, ze Sawczyna. Zawadzki Nikodem, z Krzywego. Załuski Józef, hr. z Jasiennicy. Słonecki Leon, z Krechowic. Zgazdziński Konstanty, z Ulicka. Cywiński Franciszek, z Delejowa. Wolański Jan, ze Żółkwi.

PP. Popiel Michał, z Jaśnisk. Manasterski Józef, z Błażowa. Dzieduszycki Juliusz, hr. z Jarczowic. Kriegshaber Alojzy, z Kabarowic. Teodorowicz Kejetan, z Illiniec. Sartyni Antoni, z Drozdowic.

Wyjechali od dnia 1. do 3. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Younga Władysław, do Stanisławowa. Nurkowski Wincenty, do Byszowa.

PP. Bal Franciszek, do Tuligłów. Mier Henryk hr. do Buska, Czerkawski Ignacy, do Podhajec.

PP. Brunicki Jan, br. do Podhorzec. Strzelecki Krystyjan, do Wyrowa. Torosiewicz Maurycy, do Ostrowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 2. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$124\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% $82\frac{11}{16}$ $4\frac{1}{2}$	72
Hamburg za 100 tal. banco	$91\frac{1}{2}$	Akcye banku	$1004\frac{1}{2}$
Londyn za 1 funt szterl.,	12 8	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	$123\frac{1}{2}$	Obl. ind.	76
Paryż za 300 franków .	$145\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	106
Agio duk. ces.	$28\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$87\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 43	złr. 5	kr. 47
Dukat cesarski	„ 5	„ 48	„ 5	„ 51
Półimperyał zł. rosyjski	„ 10	„ 1	„ 10	„ 4
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 56	„ 1	„ 57
Talar pruski	„ 1	„ 51	„ 1	„ 53
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 24	„ 1	„ 25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„ 94	„ 24	„ 94	„ 39
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	74	„ 15	„ 74	„ 30
5 proc. pożyczka narodowa	86	„ 35	„ 87	„ 15

Lwów, 2. Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 38 złr. 45 kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 27 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 14 złr. — kr. do 15 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 10 kr. — Ziemniaków po 13 złr. — do 14 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 8 kr. do 5 złr. 45 kr. Centnar słomy 3 złr. 8 kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**